

# Koszarka

25 sierpnia 2016

Zdarzyło się niegdyś, że nasza telewizja znalazła chwilę przerwy w nadawaniu obezwładniających głupotą reklam i pokazała koszarkę uwięzioną pod mostem Syreny.

Koszarka to barak mieszkalny umieszczony na barce i spełniający rolę hotelu robotniczego dla pracowników zatrudnionych przy regulacji rzek. Natomiast most Syreny był przez wiele lat budowlą niezwykłą. Żadna bowiem stolica świata nie mogła poszczycić się taką przeprawą przez rzekę, jak właśnie ta w Warszawie. Dziś to piękny Most Świętokrzyski, ale przez 15 lat stanowił niską i szkaradną, aczkolwiek niezwykle potrzebną drewnianą budowlę.

Nastąpiła kolizja dwóch prowizorek o wyglądzie szkaradnym. I być może nie zawracałbym sobie głowy oglądaniem wyciągania koszarki z uścisku pokracznych, drewnianych przęsł mostu, gdyby nie wspomnienia związane z małą, przytulną koszareczką.

Na początku lat siedemdziesiątych zostałem młodziutkim stażystą zatrudnionym w Pracowni Projektowej Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego. Moja instytucja mieściła się na warszawskim Solcu, przy ujściu kanału nie istniejącej już stoczni remontowej. W kanale stała zacumowana koszarka należąca do naszej pracowni.

Nasza łajba o wdzięcznym faustowskim imieniu „Małgorzata” była najmniejsza w przedsiębiorstwie i miała służyć grupie pomiarowej podczas czynności geodezyjnych na Wiśle. Teoretycznie mogła wypłynąć w każdej chwili, toteż jej kajuty zawsze wyposażone były w czystą, wykrochmaloną pościel.

Jako młody pracownik od razu trafiłem w wir życia biurowego. Codzienną nudę zabijano rozwiązywaniem krzyżówek, wypadami na piwo, plotkowaniem i dyskusjami politycznymi, często przeradzającymi się w kłótnie. Do prawdziwych awantur

dochodziło podczas przyznawania premii lub podwyżek, a różne układy i koalicje dzieliły pracowników na poszczególne grupy interesów. Zapewne w Pracowni Projektowej stosunki międzyludzkie były takie, jak wszędzie, z tą jednak różnicą, że my mieliśmy koszarkę.

Ta stara łajba, odrapana z farby i rdzewiejąca w cuchnącej wodzie zamulonego kanału była czymś jedynym, co prawdziwie integrowało wszystkich pracowników płci męskiej. Stała ona ponad podziałami na partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących, kawalerów i żonatych. Zwykła koszarka, uważana przez nas za największą zdobycz socjalizmu epoki wczesnego Gierka zjednoczyła wszystkich: młodych i starszych, mądrych i głupich, kiedy dyrektor wpadł na idiotyczny i złośliwy pomysł odebrania nam tej zdobyczy.

Kierowane zawiścią urzędasy z innych działów, zamiast zajmować się wypisywaniem dyrdymałów, do czego ich przecież wykształcono, chodzili składać donosy. Widać było, że dyrekcja ulega podszeptom tych elementów społecznych, tym prymitywom od strugania ołówków, bo dyrektor w końcu uznał, że nasz obiekt pływający jest wykorzystywany całkowicie niezgodnie z przeznaczeniem.

Kiedyś przypłynął holownik i pod osłoną nocy zabrano naszą „Małgorzatkę” w nieznane. Rano przeżyliśmy zbiorowy wstrząs psychiczny. Pracownicy zwrócili się z dramatycznym apelem do jednego z projektantów, Tadeusza Starościńskiego, by ten kanałami partyjnymi załatwił sprawę i spowodował powrót koszarki.

Wielu uważało Tadeusza za element niepewny, ba, nawet wywrotowy. Jako działacz partyjny był lektorem w KC PZPR, toteż w ówczesnym, „zbrodniczym” ustroju bywał represjonowany pozbawieniem premii i wszelkich nagród przez bezpartyjne kierownictwo Pracowni. Tadeusz miał opinię największego opoja i hulaki w całym przedsiębiorstwie i zdarzało się, że zamiast o siódmej, jak Pan Bóg przykazał, pojawiał się w pracy koło

południa, zmalretowany okropnym kacem.

Teraz jednak przyszła koza do woza i diabli wzięli uprzedzenia polityczne, wszelkie waśnie i zawiści. Zdecydowana postawa i determinacja załogi pracowni oraz interwencja Tadzia „na górze” spowodowały zwrot naszej łajby. Radość była wielka, a zwycięstwo uczciliśmy całonocną popijawą na „Małgorzacie”.

Oto cała tajemnica: Koszarka służyła bowiem celom rozrywkowym, a nie socjalno-bytowym. Tu wyprawiało się imieniny i organizowano libacje z innych okazji. Tu można było, po podpisaniu listy w kadrach, spokojnie dospać przebalowaną noc. Wreszcie najważniejsze: Na „Małgorzatę” można było zawsze przywlec lub zaprosić rozmaite panny. Owe wspaniałe Gośki, Kaśki, Baśki nie skąpiące złaknionym bliźnim swoich wdzięków.

Los chciał, że w jednym biurowym pokoju pracowałem z Tadeuszem. W ciągu kilku miesięcy poznałem czterokrotnie jego bujny życiorys. Za każdym razem była to zupełnie inna biografia, ale na kanwie każdej z nich można było spokojnie napisać książkę. Pod jednym warunkiem: że szalejąca wówczas cenzura nie wykreśli 90 procent treści nieobyczajnych i demoralizujących. Złośliwi twierdzili, że Starościński z takim samym talentem pisuje życiorysy towarzyszom z KC.

Przeszło czterdziestoletni Tadzio był dwa razy starszy ode mnie, ale uwielbiał przebywać w towarzystwie ludzi młodych. Nade wszystko jednak wesołych. Jak twierdził, nie wyszedł jeszcze z trudnego okresu dojrzewania, ale zdobył już tyle doświadczenia, że chętnie wprowadzi mnie w życie. Owo wprowadzanie polegało na teoretycznym szkoleniu i zadawaniu praktycznych pytań dotyczących życia codziennego. Oto przykład:

– Słuchaj Czarus, gdzie prawdziwego mężczyznę pije gumka do majtek?

– Jak to gdzie, w pasie – odpowiedziałem.

– W pasie i majtkach to chodzą baby, a prawdziwi mężczyźni w kalesonach...

– No to gdzie? – zapytałem nieśmiało.

– W nadgarstku cymbale, o tu, w przegubie ręki – dokładnie wskazał owo miejsce mój pedagog.

– Pamiętaj Czarus, że każdy prawdziwy mężczyzna ma na lewej ręce odciśnięty ślad po pasku od zegarka, na prawej zaś – stale, wyraźnie widoczny ślad po gumce od majtek.

Wiedzę praktyczną miałem zdobywać wśród grupy znajomych projektanta i taka okazja nadarzyła się w dniu imienin Tadeusza. Oczywiście uroczystość odbyła się na koszarce. Oprócz paru osób z biura przybyło jeszcze kilkoro przyjaciół solenizanta.

Właśnie tego dnia poznałem osobiście Janka Himilsbacha. Z naszym Tadeuszem byli bliskimi, niemal nierozłącznymi kompanami. Łączyły ich wędrówki od jednej knajpy do drugiej, by skończyć libację w którymś z nocnych lokali stolicy.

Himilsbach przydreptał późnym wieczorem, już mocno wstawiony na imieninach innego Tadeusza. W zasadzie to Janka przyprowadził stróż, sympatyczny staruszek, bo na koszarce trudno było trafić z ulicy.

Na „Małgorzacie” panował gwar, ale Tadek. bezbłędnie wyłowił ochrypły bełkot Janka, chwiejącego się na brzegu. Trzeba było aktora przeprowadzić po trapie na pokład kipiącej życiem łajby. Ale nim licho przyniosło Himilsbacha, ja już od kilku godzin adorowany byłem przez pannę Dziewicę, jak ją w towarzystwie nazywano. Już na samym początku imprezy przedstawił mnie tej damie, jako cnotliwego młodzieńca sam solenizant.

Była to śliczna, filigranowa czarnulka, sporo starsza ode mnie, ale ze względu na jej delikatną urodę, trudno byłoby

dostrzec między nami różnicę wieku. Miała na imię Bożenka.

Od razu przypadliśmy sobie do gustu.

Kiedy towarzystwo było już dobrze wstawione, a w salce kuchennie – świetlicowej atmosfera zgęstniała, jak w kotle parowozu, wziąłem Bożenkę za rączkę i wyszliśmy na pokład koszaraki zaczerpnąć świeżego powietrza. Na zewnątrz poczuliśmy chłód i choć był to dopiero październik, na powierzchni wody w blasku księżyca lśniła jakby cienka powłoczka lodu.

Było romantycznie. I właśnie wtedy, kiedy spełniałem swoje marzenie, aby na nadgarstku zdobyć wreszcie upragniony ślad gumki od majtek, wydarzył się ów przykry incydent studzący wrzenie hormonów.

Nie słyszeliśmy, kiedy Himilbach wyszedł na pokład, bo z wnętrza łajby rozległo się gromkie „sto lat” i niosło hen po Wiśle, aż do przeciwległego, rozświetlonego brzegu Saskiej Kępy.

Nikt już nie pamięta, dlaczego Janek nie skorzystał z toalety na koszarce. Być może była zajęta. Faktem jest, że stanął na skraju burty przyjmując postawę zasadniczą i jak kłoda, nie wyciągając nawet lewej ręki przed siebie, w której nic przecież nie trzymał – runął prosto na twarz do lodowatej wody.

Bożenka najpierw zaczęła się histerycznie śmiać, ale kiedy Janek długo nie wypływał, narobiła rabanu na całą koszarę.

Ja znałem kanał dość dobrze. Wiedziałem, że nie jest głęboki, ale Himilbach był niskiego wzrostu. Nadto na dnie znajdowała się gruba warstwa cuchnącego, grząskiego i zaśmieconego mułu, co w rezultacie stanowiło największe niebezpieczeństwo.

Ktoś rzucił koło ratunkowe, ktoś inny pobiegł po bosak. Wreszcie, tuż nad powierzchnią wody ukazała się czarna od szlamu zmieszanego z wodorostami, zgniłą trawą czy innym

świństwem głowa: charcząca, prychająca, plująca, rzucająca najwymyślniejszymi przekleństwami.

Wciągnięcie Janka na pokład nie sprawiało już trudności, ale problemem było uwolnienie go z jakiejś starej, zardzewiałej, cuchnącej liny, którą był przepasany w pół. Nie udało się, niestety, żadną miarą wydobyć jego butów.

Wysuszenie niedoszłego topielca nie było trudne, bo „Małgorzata” miała centralne ogrzewanie, ale fetor z jego ciuchów był nie do wytrzymania. O świcie, kiedy zdecydował się pójść do domu w starych kaloszach znalezionych na koszarce, powiedział do solenizanta:

– Tadek, wiesz k... Basica powie mi, że po raz pierwszy, k... wracam z imienin śmierdząc gównem, nie gorzałą!

Kiedy nadeszła zima i mróz ściął wodę w kanale grubą warstwą lodu, Himilsbach był jeszcze kilka razy na „Małgorzacie”: Mieszkał przy Górnośląskiej, miał więc blisko na koszarę. Jednak wiosną, kiedy lody puściły i trzeba było wchodzić na łajbę po trapie – nie pojawił się więcej.

Moje marzenia odnośnie trwałego śladu na nadgarstku nie spełniły się, chociaż Bożenka została prawie stałą lokatorką koszarki. Ta drobna kobietka, już na początku imprezy wciągała mnie z siłą nosorożca do kajuty, gdzie bieliznę ściągała z prędkością światła.

Dzisiaj z nostalgią wspominam czasy koszarkowe i to nie tylko dlatego, że byłem młody, zdrowy i nie bałem się przyszłości. Oczywiście wszystko się kiedyś kończy. Ze względu na budowę wjazdu na most Łazienkowski przeniesiono nasze biuro i zabrano koszarę. Tym razem na zawsze. Spotykaliśmy się czasem w „Kameralnej” przy ul. Foksał, czasami u kogoś w domu, ale coraz rzadziej i rzadziej.

Szczerze przyznam, że te nocne hulanki z Tadziem Starościńskim, Dziewicą i ich towarzystwem, bardzo mi

imponowały. Mimo znacznej różnicy wieku, traktowano mnie jak równorzędnego kompana, a ja nade wszystko ceniłem sobie poczucie humoru tych ludzi. To był zawsze festiwal śmiechu.

Tadzio pochodził znad wschodniej granicy. Po wypiciu pierwszej ćwiartki zaczynał zaciągać jak prawdziwy „sliedzik” i wchodził w stan euforii. Choć był inżynierem, miał duszę artysty. Jego anegdoty i opowiadania, zazwyczaj zmyślane, często obrzydliwe, nieodmiennie wywoływały salwy śmiechu i potrafiły rośmieszyć nawet skacowanego, a wtedy ponurego Himilsbacha, który przecież do wesołków nie należał.

Kiedy żołądek Tadzia wypełniało już pół basa czystej, wtedy zaczynał śpiewać. A trzeba przyznać, że głos miał czysty i potężny jak dzwon. W restauracjach uważano, że Tadek jest pieśniarzem operowym i dlatego może nie wyrzucano go na zbitą mordę za zakłócanie spokoju.

Oczywiście ja chciałem dorównać towarzystwu dowcipem, zacząłem więc pisywać pieprzne wierszyki i fraszki. Im bardziej dosadne, tym wdzięczniej przyjmowane. W ciągu wielu lat, niestety cała ta literatura gdzieś zaginęła.

Zapewne dzisiaj niektórzy pomyślą, że ci dojrzały w końcu ludzie mieli na mnie demoralizujący wpływ. Chyba nie. Wtedy poznawałem klimat nocnych lokali stolicy, poznawałem życie i świat. To sprawiało mi przyjemność i wielką satysfakcję. Starając się spożywać jak najmniej alkoholu, bacznie obserwowałem ludzi; niezwykłych charakteropatów, psychopatów, alkoholików, ale także ludzi zagubionych, nieszczęśliwych, nie umiejących znaleźć swojego miejsca w życiu. Bo życie jest teatrem, w którym jesteśmy nędznymi aktorami, codziennie grającymi swoje role w niekończącej się tragikomedii.

Dlatego moje wspominki są po to, by Czytelnika oderwać od dzisiejszej smutnej rzeczywistości i choćby na chwilę wywołać uśmiech, który jest dla mnie największą nagrodą.

Tak moi Drodzy, wszystko się kiedyś kończy. Dla mnie spotkania

z towarzystwem Tadzia, zakończyły się definitywnie wraz z nowym podziałem administracyjnym kraju. Było to w 1975r. Bożenka otrzymała nominację na sędzię w nowo powstałym sądzie wojewódzkim, gdzieś daleko od Warszawy.

Było, minęło. Minęły przede wszystkim beztroskie, bezpieczne lata. Ale mnie na zawsze pozostało ciche, niespełnione marzenie, aby kiedyś jeszcze raz spotkać tak śliczną Dziewicę i znaleźć się znowu w towarzystwie, jakie opisałem. Tylko jeden raz. I choćby na chwilę.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: [Patriota-Tarkowski.blogspot.com](http://Patriota-Tarkowski.blogspot.com)